



Anthropological Interpretations
of Central European Societies
1999, Prof. Michał Buchowski

Michał Borun

O Ukraińskiej Powstańczej Armii w Bieszczadach z rozmów z mieszkańcami Bereźnicy Wyżnej, Rybnego i Polańczyka

Wstęp

Praca niniejsza nie ma na celu przedstawienia historii Ukraińskiej Powstańczej Armii na terenie Bieszczadów; nie jest moim zamiarem również oskarżanie lub obrona którejkolwiek ze stron ówczesnego konfliktu. Praca ta powstała z potrzeby rozmowy z naocznymi świadkami zająć i jako taka mogłaby pretendować do miana świadectwa historycznego. Niestety, sposobowi prowadzenia przeze mnie badań można wiele zarzucić: dla zachowania nieformalnej atmosfery wypowiedzi nie zostały nagrane; rozmówcy moi nie odpowiadali na te same pytania, pozwoliłem im opowiadać ile i o czym chcieli, nakierowując ich tylko od czasu do czasu na interesujący mnie temat, więc przytoczone niżej ich świadectwa mogą być pozbawione kontekstu w jakim je wypowiedziano. Wreszcie wiele rzeczy mogło zostać opacznie przeze mnie zrozumianych, czemu niekoniecznie zapobiegły stawiane przeze mnie na końcu szczegółowe pytania. Będąc zatem świadom możliwych błędów, podkreślam iż praca ta jest jedynie próbą zmierzenia się z tym tematem - moim sygnałem pojawieniem się wśród tych ludzi. Mam nadzieję, że starczy im czasu, sił i zaufania, by opowiedzieć wszystko raz jeszcze - najlepiej przed kamerą. Aby pozostawić po sobie świadectwo tamtych zdarzeń.

Konflikt polsko-ukraiński w Bieszczadach doczekał się wielu opracowań. Nie mam prawa oceniać ich fachowości, części z nich jednak zarzuca się stronniczość, wobec niektórych toczą się spory - powoływanie się więc na nie w tekście jest już więc niejako stanięciem po jakiejś stronie, a tego właśnie pragnę zaniechać. Choć wiem, że całkiem się tego ominąć nie da i przedstawiając w pierw bohaterkę tej pracy - Ukraińską Armię Powstańczą (UPA) muszę bazować na tym, co napisali inni; Ale najbardziej zależy mi na osobistym zebraniu relacji, które stanowić będą tej pracy część właściwą i już nie wtórną. Jadę w Bieszczady, by spotkać tam żyjących jeszcze świadków zdarzeń. Mam pełną świadomość, że ich wybór będzie arbitralny, a ich świadectwa mogą być zafałszowane minionym czasem, czy też nawet ich wolą. Niemniej jednak chcę być tam, słyszeć to wszystko samemu, móc porozmawiać i zadać dręczące mnie pytania ludziom, którzy zdają się być predestynowani do odpowiedzi na nie. Podróż tę traktuję jak przygodę, moją przygodę z historią, jej świadectwami i objawieniami, różnorodnością jej interpretacji. Nie szukam prawdy, bo wiem, że jej nie jestem w stanie znaleźć; jedyne, z czym mam do czynienia to prawdziwość. Prawdziwość

relacji, prawdziwość uczuć, prawdziwość, czyli po prostu człowieczeństwo moich rozmówców; i tych, o których będzie mowa. Dlatego też nadaję śródtytuły w brzmieniu tytułów powieści Andrzeja Szczypiorskiego, który chociaż nie o tym konflikcie, ale przecież o tej wojnie, wojnie w ogóle i przede wszystkim właśnie o człowieczeństwie ofiar i oprawców pisze.

Czas przeszły

Paulinka ma dziesięć lat; całe życie mieszka w Bieszczadach, ale Ukraińca spotkała dopiero niedawno. Dla starszych mieszkańców wsi bieszczadzkiej rusczy rówieśnicy byli nieodłącznym elementem życia społecznego. Tak zresztą, jak i żydowscy, nawet cygańscy. Dziś mogą ich sobie tylko przypomnieć w najgłębszym wspomnieniu przeszłości - dzieciństwa czy wczesnej młodości. Dorastanie obok przedstawicieli innych nacji, czy - przede wszystkim - innowierców nie było, jeśli można wierzyć słowom moich rozmówców, nacechowane ksenofobią, niechęcią czy choćby poczuciem obcości. Nie tutaj. Tę gęsto wprawdzie wówczas zaludnioną, ale prowincję ominęły narodowościowe waśnie sanacyjnej Polski. Nikt Bieszczadów nie polonizował na siłę, napływ urzędników z głębi kraju nie miał tak kolonizatorskiego charakteru, jak na innych ruskich ziemiach. Na Wołyniu dla odmiany - osadzono wielu polskich urzędników z rodzinami, przeciw którym przede wszystkim - jako elementowi polskiego imperializmu skierował się późniejszy ukraiński ruch narodowy. Powstałej na Wołyniu Ukraińskiej Armii Powstańczej należy przyporządkować jeden główny cel działania - przede wszystkim chciała się pozbyć ze swoich ziem polskich osadników, to znaczy tych, których polskie władze osiedliły tam w latach międzywojnia. Jej stosunek do etnicznie polskiej ludności miejscowej był już nieco inny. Wobec tych, nawet jeśli się ich również nie chciało na ruskiej ziemi, postępowano znacznie delikatniej - przecież byli to odwieczni sąsiedzi.

Tak jak nowoprzybyli Polscy urzędnicy pozbawieni byli wszelkich sentymentów wobec Ukraińców, tak ci bojownicy o niepodległość Ukrainy, którzy pochodzili spoza II RP pozbawieni ich byli nawet wobec rdzennie wołyńskich Polaków. Wydaje się, że tym dwóm grupom napływowym: polskim urzędnikom i wschodnioukraińskim prowydnikom zawdzięczamy aż tak nieludzki przebieg

konfliktu na Wołyniu; trzecią taką siłą byłaby sowiecka partyzantka, której cele nie zawsze zbiegały się z polskimi czy ukraińskimi. Po wojnie dopiero UPA przeniosła się w Bieszczady, zaszczuta po wschodniej stronie Sanu działaniami NKWD. Tu w mało zrozumiałych okolicznościach dane jej było dokonać żywota. Mało zrozumiałych, bo budzących wiele wątpliwości - był to ruch narodowy, dążący do powołania państwa Ukraińców (te tereny nazwane były Zakierzońskim Krajem), podczas gdy szanse powstania takiego państwa zdławił już ostatecznie Związek Sowiecki. Można przypuszczać, że NKWD zapędziło na ten teren 'groźny element', by go tam z czasem - najlepiej polskimi rękoma - się pozbyć (przypomina się bohaterska, acz beznadziejna walka warszawskich Powstańców). Rola NKWD nie jest tu zresztą znikoma - jak twierdzi bowiem historyk PTTK w Sanoku, pan Orłowski - cała bieszczadzka UPA to była prowokacja NKWD - jej to bowiem agenci mieliby kierować poczynaniami Armii tak, by ta z jak największymi stratami ludzkimi przestała wreszcie istnieć. Hipoteza to śmiała i przewrotna, dlatego całkiem prawdopodobna, zważywszy wypróbowany na innych nacjach geniusz Stalina. Tak czy owak działalność bieszczadzkiej UPA pozostawia do dziś wiele niedomówień, których praca niniejsza na pewno nie może wyjaśnić.

Nie interesuje mnie, kto kogo zabił pierwszy; pierwszy, ile razy i jak. Nawet nie tak bardzo, dlaczego. Mówią moi rozmówcy, że wcześniej żadnych problemów między różnymi nacjami i innowiercami nie było. W jakiś sposób jednak rozegrało się wśród tych samych ludzi wiele ludzkich tragedii i nie sposób twierdzić, że całkiem bez ich winy. Nienawiść, gdziekolwiek zaistnieje, padnie na grunt podatny, tak i tu się stało. Przyczyn tego nie sposób jednak zgłębić w tej pracy, dlatego też stanowi ona jedynie zbiór - naocznych przeważnie - świadectw. Nic więcej, ale też nie mniej - a z biegiem czasu już samo zebranie takich świadectw jest coraz trudniejsze.

Paulinka ma dziesięć lat; całe życie mieszka w Bieszczadach, ale Ukraińca spotkała dopiero niedawno. Ukraińcem tym jest zarabiający w gospodarstwie "pana Mariana" Wasyl. Przyjechał tu z Ukrainy, ale gdyby pewne wydarzenia przebiegły inaczej, jego rodziców być może nie wysiedlono by stąd i mieszkałby - jak Paulinka - w Bieszczadach od urodzenia.

dzień pierwszy: BEREŻNICA WYŻNA

Marian, przyjaciel, u którego po raz kolejny goszczę, obiecał mnie przedstawić kilku świadkom powojennych zajęć; pierwszego dnia ma jednak wiele pracy, muszę więc na razie zdać się na pomoc Paulinki. Paulinka pamięta mnie sprzed prawie dwóch lat, nie jestem jej więc obcy i łatwo się przy mnie wyluzowuje; jak jednak potraktują mnie mieszkańcy Bereżnicy, dla większości których jestem jednak obcy...

Bereżnica Wyżna jest dziś jedną z tych zapomnianych wsi bieszczadzkich, które wprawdzie jeszcze istnieją, ale nie w świadomości turysty. Położona w pobliżu popularnych miejscowości, jest zarazem jedną z nielicznych tu już oaz spokoju; od owczarni po pomnik snuje się aleja zwykłych domostw, których przed wojną było z pół setki. Nie podzieliła losu w pełni wysiedlonej i zarośniętej dziś całkowicie Bereżnicy Niżnej, z czego mogę skorzystać, szukając pierwotnych jej mieszkańców.

Mama powiedziała Paulince, do kogo najlepiej mnie zaprowadzić. Idziemy w górę wsi, gdzie mieszka jeszcze wielu starych ludzi. Pierwszym z nich jest pan Winnicki. Rodzina nie jest zmieszana moim niezapowiedzianym najściem, jemu samemu zdaje się być to nawet na rękę - przez najbliższą godzinę jest młody, i ja widzę go młodym. Musze go takim widzieć, by zrozumieć ogrom nieszczęścia, jakim dla niego musiała być wojna. Wychodzimy na zewnątrz i siadamy na schodkach; ruch to dość śmiały dla osiemdziesięcioletniego człowieka - mimo że to lipiec, chmury wiszą nad nami gęste, jakby chciały udzielić nam mrocznej atmosfery czasów, które przywołujemy. Pan Winnicki zapala pierwszego papierosa i opowiada; gdy kończy ostatniego (zdaję się że to już po całej paczce) wiem już co nieco, ale o interesującym mnie temacie niewiele; pan Winnicki wysiedlony został bowiem tuż po wojnie i powrócił w spokojnym już okresie, więc nic o UPA nie może mi powiedzieć.

Idziemy dalej do pana Michałko; to zdrobnienie od imienia Michał, którego używa wobec niego żona (nb. Mychajło jest czwartym co do częstości występowania męskim imieniem karpackich Rusinów). Michałko zdaje się mieć całkiem niezłą pamięć, tak twierdzi matka Paulinki, przeszkodą jednak nie do

przebycia staje się jego syn: nad wyraz podejrzliwy, niechętnie odnosi się do mojego zamiaru "przesłuchania" ojca, nikomu to nie potrzebne, jeszcze będą z tego jakie nieprzyjemności. Prosi bym nie brał tego do siebie, ale już mu się zdarzył ktoś usiłujący nagrać rozmowę ukrytym dyktafonem; ja, aby utrzymać nieformalny charakter rozmów zrezygnowałem z użycia innych nośników informacji, niż zapisywane przeze mnie kartki, ale to go i tak nie przekonuje. Cóż, mogę tylko zgadywać, że ta postawa wyuczona została w realiach PRL, choć i dziś jest, niestety, całkiem zrozumiała. Odchodzę z niczym, tylko dlatego że jestem obcy; mieszkańcy wsi - swoi - nieraz jeszcze usłyszą od starego Michałko, to, o co ja nieskutecznie zabiegałem.

Mała dziewczynka z sąsiedztwa okazuje się nie być najlepszą przepustką do dusz miejscowych. Przepustką wystarczającą jest wprowadzenie przez kogoś bardziej "swojego"; tak stanie się następnego dnia, gdy z Marianem przejdziemy się po Rybnem.

dzień drugi: RYBNE

W Rybnem mieszkało w momencie wybuchu wojny siedem polskich rodzin. Rybne było osobną dużą wsią, nie przysiółkiem Wołkowi, jak dzisiaj. Wszystkiego było ze 60 rodzin, to jest tyle co w Wołkowi, Polańczyku czy Bereźnicy. (Przewodnik podaje ilość 43 domów w 1921 roku). Polskość rodzin można było poznać po brzmieniu ich imion, nazwisk; przezwiska już jednak niektórzy mieli ruskie - taka to była bowiem na tym terenie mowa, ni to urzędowa polska, ni jakaś obca - po prostu swoja. Ale najważniejszą oznaką różnicy była wiara: rzymsko-Polacy i greko- Rusini. To stwierdzenie wymaga jednak uściślenia - 'różnica' nie jest tu słowem pejoratywnym i wcale nie oznacza antagonizmu.

I choć świadomość narodowa - polska czy ruska była w rodzinach wysoka, wcale nie tak oczywiste było samo rodziny pochodzenie. Z jednej strony istniały rodziny mieszane, co nie budziło żadnych resentymentów, z drugiej - zdarzały się i takie przypadki, jak Tymejczyków - rodziny polskiej, która sąsiedowała z działaczem ukraińskiego ruchu narodowego, starym Rusinem o nazwisku... Tymejczyk.

Po Rybnem oprowadzi nas pan Jan Koncewicz, rocznik 1923, który świeżo po wojnie ożenił się i odtąd mieszka tam z żoną nieprzerwanie. Był tu przez cały czas istnienia miejscowej UPA i pamięta, jak ujrzał na swoich drzwiach kartkę...

Początek

Pewnego ranka polscy mieszkańcy ujrzeli na swoich drzwiach kartki od Ukraińskich powstańców. Ludności polskiej zalecano, celem omińnięcia rozlewu krwi przeniesienie się do Polany; tam to bowiem UPA postanowiła uczynić skupisko ludności polskiej; planu tego nie miała jednak jak wykonać, zmagając się latami z Wojskiem Polskim, co zakończone zostało owszem - wysiedleniem, ale Ukraińców.

W skład band wchodziłi ludzie bardzo różnego pochodzenia, bardzo różnymi przesłankami powodowani. Rzecz jasna, najbardziej bezkarnie i bezpiecznie mogli czuć się ci pochodzący skądinąd: Ukraińcy zza Sanu (bandy UPA narodziły się na Wołyniu jeszcze w czasie wojny, dopiero później przeszły w Bieszczady) lub z dalszych wsi bieszczadzkich. Miejscowi mogli być rozpoznani przez mającą z nimi styczność ludność cywilną, co mogło powodować represje wobec ich rodzin. Mimo to jednak i im udzielało się banderowskie poczucie bezkarności, które było przecież jednym z powodów wstępowania do UPA: tak oto bowiem chłopak, którego nie stać było na zwyczajowe zdobycie dziewczyny, będąc członkiem bandy mógł ją bez żadnych przeszkód osiąść, odgrywając się przy okazji na jej rodzinie, gdyż oczywiście żeniaczka już mu nie była dalej w głowie. Albo też prowadzący za dnia własne gospodarstwo mieszkaniac Bereźnicy przechodził w nocy na drugą stronę góry, gdzie w Rybnem z karabinem w ręku kazał się podejmować kolacją. Byli również Niemcy w bandach UPA - ci, którzy spóźnili się na ewakuację, wiedząc o współpracy partyzantek polskiej i sowieckiej, nie mieli innego wyjścia jak pójść z Ukraińcami w góry.

Zdarzali się i przebierańcy - banderowcy w polskich mundurach. UPA nie posiadała własnych, tak więc jej członkowie obok mundurów niemieckich czy kolaborującej z Niemcami policji ukraińskiej nosili też i zdobyczne polskie, czasem jednak zakładali elementy akcentujące polskość (orzełek [orzełko] czy biało-czerwona opaska), aby nie zostać rozpoznanymi, czy też przeprowadzić akcję

obciążającą Polaków. O takich to pozorowanych akcjach wiele się mówiło, tak że do dziś nie wiadomo, czy konkretnej pacyfikacji dokonali Polacy czy przebierańcy, a jeśli ci ostatni, to czy byli to Ukraińcy czy sowioci. Tym drugim było o wiele trudniej dokonać takiej pozoracji, zważywszy ich nieznaną polskiego języka. To zagadnienie jest szczególnie delikatnej natury, gdyż to właśnie takich przebierańców (szczególnie sowieckich) obarczali Polacy winą za okrutne pacyfikacje ruskiej ludności na Wołyniu w ostatnich latach wojny, podczas gdy Ukraińcy wśród przyczyn powstania UPA podają konieczność odreagowania na te właśnie - polskie - akcje.

Noc, dzień i noc

Wojsko Polskie stacjonuje obok w Wołkowi. Banderowcy zaś gdzieś w lasach w przeciwnym kierunku. Rybne - między młotem a kowadłem - ma stać się świadkiem niejednego. Za dnia nie ma się czego bać. Gdy nastaje wieczór, nikt nie jest jednak już pewny, czy dotrwa do jutra. Pan Koncewicz wraca więc wieczorami od mieszkających już na końcu wsi, parę minut drogi w górę grekokatolików. Porządni to ludzie i świetnie 'się' z panem Koncewiczem - jak to on mówi - 'zachodzą'.

Pewnego razu, będąc na strychu swojego domu widzi sunący drogą oddział UPA. Jako że czasu nie ma wiele, natychmiast chowa się za deski w ścianie, skąd będzie miał szansę wyskoczyć strzechą, jeśli dom zapłonie. O to, czy go nie zobaczą będzie się dopiero wtedy martwić. Nie słyszy nic z tego, co dzieje się na dole, gdy banderowcom otwiera drzwi jego żona. Nie wie nawet, kiedy przychodzą i czy już wyszli. Mija czas, dom nie płonie i pan Koncewicz może mieć nadzieję, że banda kobiety nie skrzywdzi...

I tak się właśnie dzieje. Chcą zwierząt. Gdy pani Koncewiczowa zaklina ich, by nie zabierali jej jedyne konia i krowy, ustępują: wszystkim, gdy coś zabierają zostawiają z reguły po jednym zwierzęciu z gatunku. Więc i tu zostawiają tyle. Biorą jednak... zapalki. Słowa pani domu, że i zapalki są jedyne, nie skutkują. Do rana będziecie tu mieli wystarczająco wiele ognia - brzmia złowieszco słowa dowódcy. Oprócz rabunku bowiem celem wypraw z lasu jest palenie domostw; ale tylko tych pustych, tak by żaden nowoprzybyły Polak nie mógł się tu osiedlić. Taki jest

właśnie dom obok - pusty, lecz tego nie ruszą, bo stoi za blisko i ogień mógłby przejść na domostwo Koncewiczów. Banda odchodzi w głąb wsi. Dopiero teraz zaczyna się trwoga pani Koncewiczowej - o młodego męża, którego miejsca pobytu nie zna. Woła go, i dopiero to wołanie słyszy pan Jan. Ale nie ma pewności, czy żona jest sama, więc pozostaje cicho w swej kryjówce. Taka jest zresztą jego zasada: nie wychylać się; i dzięki niej właśnie, twierdzi, przeżył wojnę i to, co się działo później.

W trakcie owego napadu wszystko działo się po cichu; w dole wsi jednak jedna kobieta podniosła krzyk, tak że mogło ją usłyszeć wojsko w Wołkowi. I faktycznie, w momencie, gdy oddział UPA wycofał się ze wsi, okazało się, że po obu stronach drogi wprost roi się od zaalarmowanych tym krzykiem polskich żołnierzy; ci wyszedłszy z ukrycia podążali za bandą jakiś czas; w lesie jednak Ukraińcy - jak to partyzantka - byli u siebie, regularne zaś wojsko traciło grunt pod nogami, wobec czego pościg szybko się zakończył. Podobnie przebiegały inne napady.

We wsi zdarzało się, że polskie dzieci przechowywane były w ukraińskich rodzinach - tak było w trakcie napadu najbezpieczniej; pan Koncewicz wspomina jeden taki przypadek, gdy banderowcy zmasakrowali czternastolatka; według ukrywającej go greko-katolickiej rodziny wydał się ze swoim pochodzeniem, ojciec jego nie mógł w to jednak uwierzyć i już niemal brał na tej rodzinie odwet. Na szczęście jednak się pohamował. Ciężko stwierdzić bowiem, czy rzeczywiście było, tak jak mówili Rusini, czy może jednak wydali chłopca w trosce o siebie samych. Niemniej jednak gotowość niesienia Polakom pomocy w zagrożeniu była normalna; nawet jeśli Rusin uważał, że UPA walczy o jego prawo do tej ziemi, nie mógł często zrozumieć, dlaczego miałby zniechęcić odwiecznego sąsiada.

Złović cień

Pewnego dnia szli dwaj wieśniacy z Zawozu, prowadząc konie. Napotkanemu patrolowi Wojska Polskiego wytłumaczyli zgodnie z prawdą, że prowadzą konie, które zostawili banderowcy. Żołnierze z jakiegoś powodu nie chcieli dać temu wiary i traktowali młodych jak członków bandy:

- Gdzie wasza broń? - powtarzali raz po raz, nie zważając na zaklinanie się, że ci broni żadnej nie mają i nie wiedzą o co chodzi.

- Jak to nie macie? A tu to co? - oficer wskazał im zdjęcie, na którym widnieli obaj wśród banderowców trzymających broń; może nawet sami - jak to na zdjęciach bywa - coś - ot, tak sobie - trzymali w rękach. Dla żołnierzy zdjęcie znalezione w kryjówece UPA było pewnym dowodem kolaboracji, bo kto fotografowałby się z partyzantką w roli białego misia czy osiołka? A jednak ktoś taki się znalazł. Bo czemu nie sfotografować się z przyjaciółmi z lat dziecińczych? I chociaż broni przy nich nie znaleziono, tego dnia obaj chłopcy nie przeżyli.

Za murami Sodomy

Mieszkaniec Wołkowyi, Stanisław Fałek nie hołdował zasadzie pana Koncewicza, żeby się nie wychylać. Wojnę przetrwał mając się najróżniejszych interesów, więc i w powojennym harmidrze trudnił się niezbyt legalnym handlem. Niejedno miał na sumieniu, lecz z nikim też nie zadarł. I do niego to pewnego dnia, jak do wielu zwykłych mieszkańców zawitali banderowcy po... pomoc. Oprócz koni, bydła, żywności, zapalek potrzebowali przecież i artykułów, których w zwykłym gospodarstwie nie było, a których sami bez ryzyka dekonspiracji zakupić nie mogli. Na przykład leków. Wiedząc o ponadprzeciętnej aktywności gospodarczej pana Fałka, zlecili mu zakup w mieście potrzebnych im medykamentów. Propozycje takie składali oczywiście pod bronią, wobec czego każdy, w tym i on musiał stać się ich kolaborantem. Nietrudno zgadnąć, że tak specyficzny zakup budził w mieście słuszne podejrzenie. Żeby uniknąć jednak śmierci z rąk UPA, należało zadanie wykonać.

Po jakimś czasie do gospodarstwa pana Fałka zawitała banda; ten, czy to mając coś na sumieniu (z racji swego zajęcia coś na pewno miał), czy obawiając

się kolejnego zamówienia zaczął uciekać. Z konia zwałił go pocisk banderowców. Tak to zginął na oczach swojej córki - dziś matki mojego gospodarza - Mariana. Marian często wspominał mi, że jego matka widziała śmierć swojego ojca. Tym bardziej szokujący musiał to być widok, zważywszy fakt, że banderowcy tępiłi swoje pociski, by rozszarpywały wnętrzności...

Historia ta nie byłaby pełna bez epilogu, który jest gorzkim, a i wręcz groteskowym podkreśleniem trudnej i niejednoznacznej sytuacji rzuconej w tej konflikt cywilnej ludności. Otóż niedługo po śmierci Stanisława Fałka przybyli do jego domu polscy żołnierze. Wieść o jego zgonie przyjęli krótkim: "To ma s...syn szczęście". Nie Ukraińcy bowiem, to oni sami by go zabili, pod zarzutem kolaboracji, czyli za zakup leków dla band oczywiście...

dzień trzeci: POLAŃCZYK

W Polańcyku, dzisiejszej siedzibie gminy Solina mieszkało przed wojną jakieś 70 rodzin, z czego około 5-6 mieszanych greko-rzymskich i ze 2 żydowskie. Czysto polskie rodziny mój tutejszy rozmówca, pan Józef Kardasz, urodzony w roku 1922, wylicza na palcach. Nie dało by się tego jednak zastosować do kwadransów, jakie spędzam na słuchaniu go; ani do samochodów, które nas mijają, gdy idziemy do ośrodka kempingowego, któremu jego syn przygotowuje posiłki. Pan Kardasz co chwila przystaje i pokazuje mi lasy, które przed utworzeniem retencyjnego zbiornika były polami uprawnymi. Jakże inna to była ziemia, przekonuje mnie to, co mi mówi; i jakże inni ludzie...

Msza za miasto Arras

W Polańcyku, jak twierdzi pan Kardasz, zaczęło się psuć od pewnego incydentu w 1937 roku. Do tego czasu rzymsko-katolicy mieszkający w Polańcyku uczęszczali często na msze do kościoła unickiego, bo ten był na miejscu, podczas gdy najbliższy kościół obrządku zachodniego znajdował się w oddalonej o około siedem kilometrów Wołkowyi. Owego '37 roku zmienił się ksiądz unicki - na miejsce starego przyszedł młody i Polakom nieprzychylny; wprost powiedział im

na mszy: A wy tu, Lachy, co robicie? I tak my się za was nie modlimy. Ksiądz ów, nazwiskiem Radjo miał duży wpływ na ukraińską młodzież, a i czasy były akurat takie, że świadomość narodowa Ukraińców znowu się budziła - ze wschodu docierały wiadomości o ruchu niepodległościowym, w leżącym tuż za górami Zakarpaciu proklamowano nawet niepodległe państwo ukraińskie. Tym procesom, zachodzącym jeszcze przed wojną, czyli na długo przed powstaniem UPA towarzyszył najprawdopodobniej import prowokatorów z sowieckiej Ukrainy, których zadaniem było nie tylko budzenie ukraińskiej świadomości narodowej, ale i skłócenie ze sobą współżyjących Polaków i Rusinów, co jak stwierdza pan Kardasz, przyniosło pewne, lecz niezbyt spektakularne efekty. Być może ksiądz Radjo był takim właśnie wichrzycielem. W ostatnim okresie działania bieszczadzkiej UPA rozpoznano go podobno wśród gonionej przez polskie wojsko bandy.

Wojnę pan Józef spędził pracując w Niemczech; wielu spotkał tam Polaków, tyłuż Ukraińców. W Niemczech pod koniec wojny walczył w armii amerykańskiej, dzięki czemu nie musiał wracać do kraju; wrócił jednak jak najszybciej - w Bieszczady. Żeby dostać się do Polańczyka musiał czekać na odpowiedni moment, gdy patrol pograniczników będzie jechał w głąb gór, by zmienić tam stacjonujący. Po drodze - w Myczkowie - napotkali pilnujący drogi patrol banderowców. Ci z założenia nie mieli nic przeciwko wojskom ochrony pogranicza, więc ich przepuścili. W owym czasie to oni kontrolowali teren i dopiero liczebna przewaga polskiego wojska mogła położyć temu kres. Kiedy po długim czasie ten moment nadszedł, pan Kardasz był akurat w centrum wydarzeń. Na parę chwil przed godziną 9:00 spotkał w Zawozie znajomego żołnierza. Ten czekał na pełną godzinę, by wejść do wsi. Tamtego dnia idący ławą żołnierze polscy zastukali do drzwi wielu ruskich domostw; następnego szli dalej; i dalej - tak, idąc z południowego wschodu wysiedlili mieszkających jeszcze w Bieszczadach Ukraińców, dając im pięć minut na przygotowanie się do wyjścia. Ci zostawiali na stołach chleb dla nowych osiedleńców, dla których miał to być jedyny i ostatni ślad po bytności Rusinów w tej krainie.

Zakończenie

Tak to więc przesiedlono w głąb kraju tych Ukraińców, którzy ostali się tu po wysiedleniach w głąb Ukraińskiej SRS. Ostateczny ten czyn położył kres zmaganiom z UPA, która pozbawiona została tak ważnego dla niej zaplecza cywilnego, no i racji bytu w etnicznie polskich już Bieszczadach. Decyzję o tej akcji, pomyślaną jako odwet na banderowcach podjęto natychmiast po śmierci pod Jabłonkami w Bieszczadach Karola Świerczewskiego-Waltera, zgłodzonego rzekomo z ich rąk. Takie było oficjalne wyjaśnienie, akcja ta, zwana Akcją "Wisła" przygotowywana była jednak dużo wcześniej przez samego Waltera, który najprawdopodobniej padł ofiarą rozgrywek w NKWD, do której należał. Obarczenie odpowiedzialnością UPA przyspieszyło całą akcję i dostarczyło mocnego argumentu dla jej przeprowadzenia. Okoliczności zaś śmierci Waltera nie zostały jednoznacznie wyjaśnione i pozostaną jedną z ważniejszych tajemnic okresu powojennego, jak i polskiej historii w ogóle. Do dziś żyje w Bieszczadach stary człowiek, który jako jeden z pierwszych ujrzał po zamachu "generała, co się kulom nie kłaniał".

Kult Waltera wpisał się w powojenną historię Bieszczadów na lata. Dziś jego imię nosi jeszcze jeden szczyt, nie ma już jednak walterowskiego szlaku turystycznego, muzeum przekwalifikowało się, a pomnik stoi niepewnie, jakby obawiał się nieprzychylnych lub - co gorsze - obojętnych mu turystów. Nie jest to jednak jedyne świadectwo przemijania w tych górach - wskutek Akcji "Wisła" bowiem tętniące życiem wsie znikły, a jedynym dziś śladem po nich są bezpańskie nazwy na mapach. Bieszczady na czterdzieści lat stały się miejscem odludnym, zarośniętym i nieprzychylnym człowiekowi. I to dzięki temu właśnie tak atrakcyjnym dla pokoleń kontestatorów, artystów, harcerzy. Dzięki temu trafiłem tu i ja; za jaką cenę jednak? - za cenę unicestwienia żyjącej w symbiozie społeczności różnych nacji i religii, naturalnej Małej - w nowoczesnym i modnym dziś tego pojęcia rozumieniu - Ojczyzny.

Wykaz źródeł:

moi rozmówcy:

Jan Winnicki *1915, Bereźnica Wyżna
Jan Koncewicz *1923, Rybne
Józef Kardasz *1922, Polańczyk
Marian Tymejczyk *1962, Rybne, Bereźnica Wyżna

podane w tekście dane dotyczące liczebności wsi pochodzą z przewodnika wydawnictw Rewasz i Bosz, wyd. 2, Pruszków - Olszanica 1993

wybrane opracowania dotyczące UPA w Bieszczadach:

- M.Bilska, Ognie nad Soliną, Warszawa 1981
- J.Gerhard, Dalsze szczegóły walk z bandami UPA i WIN na południowo-wschodnim obszarze Polski, Wojsk.Przepl.Hist. 1959, nr 4
- J.Gerhard, Łuny w Bieszczadach, wyd. X, Warszawa 1975
- E.Olszewski, Początki władzy ludowej na Rzeszowszczyźnie 1944-47, Lublin 1974
- S.Rzepski, Udział 8 Dywizji Piechoty w walce z bandami UPA w latach 1945-47, Wojsk.Przepl.Hist. 1969, nr 2
- S.Skowroński, OUN i UPA (Działalność politycznych i wojskowych organizacji nacjonalistów ukraińskich oraz walka prowadzona z nimi na terenach południowo-wschodniej Polski), Warszawa 1971 (skrypt PTTK)
- A.B.Szcześniak, Szota W.Z., Droga donikąd. Działalność Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i jej likwidacja w Polsce, Warszawa 1973
- W.Szota, Zarys rozwoju Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i Ukraińskiej Powstańczej Armii, Wojsk.Przepl.Hist. 8, 1963, nr 1

opracowania o UPA na Wołyniu:

- Wołyń - szukanie prawdy (Gazeta Wyborcza)

tematyka ukraińska:

- Znak - miesięcznik, 1999
- Ministerstwo Spraw Zagranicznych RP (w tym expose ministra Bronisława Geremka) <http://www.msz.gov.pl/polzaqr/expose99pl.html>

Tekst powstał w roku 1999 jako praca semestralna seminarium „Anthropological Interpretations of Central European Societies” profesora Michała Buchowskiego, UAM